

DIAF 2010 nie skończył się oczywiście na występie Madhupa Mudgala. Nie byliśmy jeszcze nawet w połowie. Tym niemniej w drugiej części festiwalu pojawiało się coraz więcej prób znalezienia nowych jakości dla indyjskiej sztuki, zarówno w oparciu o dawniejsze tradycje, jak i bez nich. Szóstego grudnia miały wystąpić znane śpiewaczki karnatyckie, Priya Sisters, oraz orkiestra złożona z sześciu sitarów po dyрекcją sławnego, młodego sitarzysty.



Gdy przyszedłem znów nieco za wcześnie do Meghadoota Theatre, miałem okazję zobaczyć pierwszy raz w placówce SNA elektroniczną perkusję i keyboard. Obok nich znajdowało się na scenie pięć sitarów. Na szóstym grał z podwyższenia ów młody,

sławny sitarzysta. Byli też dwaj bardziej tradycyjni perkusiści, jeden grający na tabli, drugi na karnatyckiej kanjirze i różnych ludowych perkusjach, zarówno z Indii, jak i z Afryki.

Wpierw jednak miały wystąpić Priya Sisters, cenione wokalistki z Południowych Indii. Ustawione dla 6 sitarów podwyższenia zakryto tylko zdobionymi w kwiaty ekranami, gdyż zbyt wiele czasu pożarłoby ustawianie ich od nowa. Tego dnia zebrała się w amfiteatrze bardzo liczna publiczność. Tym razem usiadłem na sofie dla specjalnych gości, widząc, jak mało kulturalnie zachowują się osoby siedzące zazwyczaj na owych sofach. Obok mnie jakieś dobiegające pięćdziesiątki indyjskie małżeństwo pałaszowało obiad, głośno komentując poczynania Priya Sisters. Słuchając uwag owych „znawców” domyśliłem się, iż liczne audytorium wynika z drugiego punktu programu, czyli z sześciu sitarów. Miało wystąpić dziesięć młodych przeważnie osób, zatem do SNA przybyli wszyscy ich krewni i przyjaciele, w większości pierwszy raz uczestniczący w koncercie.

Priya Sisters miały zatem chłodną, chamską i nieprzyjazną publiczność. Śpiewały znakomicie, lecz po kilku kompozycjach Tyagarajy zeszły na obszary prostszych kompozycji klasycznych, religijnych kriti, co nie było tak ciekawe jak varnam jednego z największych indyjskich kompozytorów. Nie wiem, czy wypełnienie koncertu lżejszą muzyką klasyczną było przez nie z góry zaplanowane, czy też był to ukłon w stronę gadającej i chrumkającej publiczności. Wspaniała znawczyni siedząca obok mnie z umazaną po czubek nosa palak paneer twarzą rzekła na koniec ich koncertu – „Thanks God!”.

Nadszedł czas na 6 sitarów. Zaczęło się fatalnie, od newageowskiego „mistycznego” dźwięku w tle i pseudorecytacji wedyjskiej obdarzonej jaskinnym echem. Później było trochę lepiej. Opracowania różnych rag i utworów ludowych okazały się niekiedy świeże i pomysłowe. Szczególnie zachwycali znakomici perkusiści, którzy obok swoich instrumentów grali również na nadętych policzkach, uzyskując dźwięk podobny do ghatam,

używanego na południu dzbanka – bębna. Najsłabiej słychać było same sitary. Szef zespołu, starający się wpadać w obiektywy kamerom na swoim podium, posiadał całkiem ładny, choć przesadnie wzmocniony dźwięk. Pozostałych sitarzystów ledwie można było wyłowić z powodzi dźwięków. Występ nie był torturą dla uszu, lecz z pewnością na scenie SNA raził swoją popową łatwością. Ja spodziewałem się na przykład orkiestry podobnej do tych, jakie tworzyli Ravi Shankar i jego mistrz Allauddin Khan. Orkiestry, w której rzeczywiście mamy różne barwy i głosy.

Na szczęście następny dzień przyniósł zupełnie odmienne wrażenia. Był to z pewnością od strony muzycznej najbardziej udany moment Delhi International Arts Festival 2010. Wpierw wystąpiły ze swoim Jugalbandhi Meeta Pandit i Sudha Raghuraman. Pierwsza z artystek jest przedstawicielką najbardziej czystej stylistycznie Gwalior Gharany, zatem ukazuje styl wokalny khayal w najbardziej klasycznej formie. Jej dziadek, wielki śpiewak Lakshman Krishnarao Pandit był obecny na widowni. Wraz z nim przybył mój Guruji, Pandit Dalchand Sharma. Wyglądał na bardzo schorowanego, lecz odbyliśmy bardzo miłą rozmowę. Zostałem zaproszony na dalszą pogawędkę do jego domu, gdyż stres związany z wręczaniem mu nagrody Delhi Ratna należał już do przeszłości i mistrz pakhawaju czuł się swobodniej. Usiadłem za tymi wielkimi artystami, zaś do mnie przysiadł się meloman będący porucznikiem policji. Chciał mnie zaskoczyć swoją wiedzą na temat zgromadzonych na widowni sław, lecz w końcu umilkł speszony, gdy zobaczył, iż znam dość dobrze przedstawianych mi nieco na siłę muzyków. Meeta Pandit i Sudha Raghuraman wybrały na miejsce spotkania karnatycką strukturę Ragam Tanam Pallavi, zatem Sudha była zupełnie u siebie, zaś Meeta musiała sobie radzić z obcym muzycznie krajem. Nie zdziwiłem się zatem, iż obok absolutnie rewelacyjnej Meety Sudha wydawała mi się jeszcze bardziej atrakcyjna muzycznie. Piękno głosu, śmiałe interwały wiodące do skrajnych pozycji na skali ragi, wywarły na mnie nieodparte wrażenie. Dopiero odsłuchanie nagrania

pozwoiliło mi docenić jeszcze bardziej Meetę Pandit. Parę tygodni później, w Chennaju, dowiedziałem się, iż Sudha Raghuraman nie jest artystką na miarę Meety Pandit, zatem całe jugalbandi zostało tak zakomponowane, aby ułatwić prezentację słabszej w tym wypadku, południowej współtwórczyni ragi. Jakkolwiek by nie było, całość wyszła wspaniale.

Następni byli Gundecha Brothers, najwięksi dhrupadiya spośród osób nie związanych bezpośrednio z uprawiającymi dhrupad rodami, takimi jak Dagarowie, czy rodzina Malików. Dhrupad należy do najstarszych wokalnych tradycji Indii. Na dworach Mogołów i Radżputów był on stylem dominującym, dopiero XIX wiek przyniósł przewagę powstałego pod koniec XVIII wieku dhrupadu nad khayalem. Dhrupad to niezwykle wyrafinowana, filozoficzna medytacja nad dźwiękiem. To samo serce indyjskiej sztuki. Niezwykle trudno się go nauczyć, jeśli nie chłonie się go od niemowlęctwa i nawet tak wielcy wykonawcy, jak bracia Gundecha, zdają się patrzeć na żywioł dhrupadu z zewnątrz, podczas gdy wszyscy Dagarowie są w środku tej muzyki. Tym niemniej i tak śpiewali wspaniale, oczywistym było, iż zrobili niezwykle postęp przez ostatnie lata, a nie zaczęli bynajmniej od zera. Okazali się też wspaniałymi nauczycielami. Studentce, która wspierała ich od tampury, pozwalali nieraz dojść do głosu. Znaczący, tacy jak Pandit Dalchand, byli ogromnie zachwyceni postępami tej młodej kobiety, ja zaś miałem przyjemność pierwszy raz słyszeć męski dhrupad w wydaniu kobiecym. Był piękny i mam ogromną nadzieję, iż studentka Gundecha Brothers będzie bez przeszkód rozwijała swoją solistyczną karierę. Miałem mówić w tym rozdziale moich pamiętników o eksperymentach. Gundecha Brothers, wraz ze śpiewającymi khayal Braciami Mishra są autorami jednego z najciekawszych z nich. Mądrze zainspirowani klasyczną muzyką europejską potrafią oni wzbogacić swój dwugłos w piękne struktury harmoniczne. Szczególnie słyszalne jest to w pięknych hymnach religijnych, wśród których dhrupad dla bogini Parwati stał się w Indiach przekraczającym kręgi miłośników muzyki klasycznej przebojem. Oczywiście na zakończenie

koncertu Gundecha Brothers zostali poproszeni o ów przebój i odśpiewali go bardzo pięknie.

Na zakończenie tego muzycznego wieczoru wystąpił elegancki i zrelaksowany Bhajan Sopori, jeden z najświetniejszych mistrzów santuru. Podobnie jak wszyscy santurzyści poza Shivkumarem Sharmą nie umiał on w pełni zachować klasycznego charakteru ragi. Tym niemniej urzekła mnie jego zabawa ciszą, umiejętność sugerowania wielu rzeczy jednym drobnym uderzeniem w struny. Korzystając z tego, iż organizatorzy koncertu rozeszli się, Bhajan przedłużył swój występ i oczarował wszystkich swoją miłością do muzycznych tajemnic i łagodnych żartów.

Na tym wieczorze skończyły się przedstawienia festiwalowe na scenie Sangeet Natak Akademi. Nadszedł czas na zapoznanie się z choreograficznym działem festiwalu, który odbywał się na znanej mi z autopsji scenie Azad Bhavan India Council of Cultural Relations. Lokalizacja scen festiwalowych okazała się pomyslna dla mojej kieszeni, gdyż metro, choć tanie, potrafiło pożerać całkiem spore kwoty, gdy jeździło się nim z jednego końca linii na drugi, pokonując nieraz czterdzieści, lub więcej kilometrów. Tym razem jeździłem tylko cztery stacje do Mandi House i dwie do Indraprasthy.

W międzyczasie odbywałem przechadzki z Rajnishem do Rajiv Parku, który jak na delhijskie standardy wyglądał naprawdę załóżnie. Liczne odbywające się w nim wesela i mnóstwo grających w krykieta zamieniła go w scenerię typową dla wyobrażeń o trzecim świecie, gdzie na jakimś pylnym – błotnistym ugorze przewalają się kłębiące się tłumy. Oczywiście prawda była odmienna. Jeśli chodzi o śluby, budowano na resztkach Rajiv Parku prawdziwe pałace i poświęcano setki tysięcy rupii na wymyślne potrawy dla setek krewnych. Wzmocniona do kresu wytrzymałości głośników bhangra wylewała się na cały Lakshmi Nagar, co w końcu doprowadziło do demonstracji mieszkańców dzielnicy, choć zabawa zwykle kończyła się o północy, o czym nie mogła marzyć mieszkająca w

Agrze Kaja, gdzie też w ślubnym miesiącu hinduistów żeniono się ile wlezie. Wydaje mi się, iż co wyżej postawieni mieszkańcy Lakshmi Nagar potrafili nawet wyłączyć prąd doprowadzony do weselnych namiotów, gdy ryk głośników zawierający niemożliwą już do poznania muzykę trwał zbyt długo. Zarówno w Agrze, jak i w Delhi, studenci wprasali się na ślubne przyjęcia i wycofywali się w odpowiednim momencie obładowani jedzeniem na najbliższe tygodnie. W Agrze niemiecki student przeżył prawdziwy szok, kiedy wróciwszy z przedłużonego weekendu zastał studencką lodówkę zapchaną do granic drogimi, importowanymi z Włoch lodami. W Delhi wszystkie wolne szafki zostały zapchane ładu i innymi „ciepłymi” łakociami, gdyż lodówek nie mieliśmy. Ilekroć wracałem w ślubnym miesiącu z koncertu, zastawałem na głównej ulicy Lakshmi Nagar chmarę zakorkowanych dokumentnie samochodów, a gdzieś między nimi pana młodego na koniu (nie zawsze wprawnego w jeździectwie) otoczonego lampionami i grającą na szenajach i trąbkach orkiestrą weselną.

Jeśli chodzi o grającą w krykieta, utaplaną w błocie młodzież, to wielu jej przedstawicieli posiadała własne laptopy i studiowała na najbardziej elitarnych uczelniach w kraju. Kilkanaście razy próbowano mnie nauczyć grać w tę dziwną grę, lecz nigdy nie miałem dostatecznie wiele czasu. Odbywałem za to spacery „dobre dla zdrowia” z Rajnishem, co rusz dostając w głowę, albo plecy dobrze wybitą piłeczką. Rzeczywiście, spacery były potrzebne, gdyż w naszych pokojach, pozbawionych okien, było przeważnie upiornie zimno.

Za pierwszym razem dotarłem do Azad Bhavan również za wcześnie. Przeszedłem się zatem po chaotycznej dzielnicy położonej za nim. Była to enklawa znawców prawa podatkowego i związanych z nim petentów. Obok sklepów z przekąskami i kawą znajdowały się tam księgarnie zaopatrzone głównie w annały prawnicze i podręczniki dla studentów prawa. Dałem się skupić i kupiłem maleńkie słowniczkę hindi – angielskie pochodzące jeszcze z czasów kolonialnych i obdarzone śliczną, secesyjną

okładką lśniącą na lichych teksturach okładek.



Pierwszą choreografię przygotował awangardowy zespół Sapphire Creations. Zasłynął on tym, iż pokazywał w tańcu również rzeczy brzydkie, ułomne i drażniące odbiorcę. Ich spektakl zatytułowany był „Parivahitam” i mówił o ładzie i chaosie, dwóch zaraźliwych żywiołach, którymi łatwo zostać przenikniętym. Po raz pierwszy ujrzałem indyjskie tancerki wyglądające jak upiory z japońskiego teatru No, lub po prostu jak osoby w stanie choroby, rozkładu... Żywioł ładu był natomiast regularnym tańcem z dalekimi echemi bharatanatyam, którego szef zespołu okazał się być znakomitym przedstawicielem. Ten występ bardzo mi się spodobał, gdyż

„ładność” jest przekleństwem indyjskiej sztuki. Hindusi nie dorobili się jeszcze swoich Schoenbergów w muzyce i Strawińskich w tańcu. I to pomimo tego, iż ich teoria ras obejmuje też grozę i obrzydzenie. Owszem, czasem w większych monologach tanecznych zdarza się bogini Kali, która wyskakuje nagle jak ciemna bestia z idyllicznej sceny, lecz jest tego zbyt mało. Sztuka, a zwłaszcza muzyka i taniec, wciąż są pod dyktando dość powierzchownie pojętego piękna. Nie zdziwiłem się zatem, iż Sapphire Creations cieszą się uznaniem w kręgach indyjskich miłośników sztuki nowoczesnej, ja również doceniłem ich zaangażowanie w ciekawą i kontrowersyjną, momentami bardzo nieładną, choreografię.

Następnie pojawili się na scenie tancerze kathak z grupy Sanshep Natya Stem Dance Company. Ponownie przekonałem się, iż kathak, najbardziej abstrakcyjny z klasycznych tańców indyjskich, najlepiej nadaje się do wszelakiej maści eksperymentów. Tym, co z niego zawsze zostaje, nawet po bardzo złożonych przemianach, jest zawsze refleksja nad wyrafinowanym i współtworzonym indyjskim rytmem.

Na kolejny weekend Kai znów udało się wyrwać do Delhi, pomimo tego, iż jej wykładowcy odgrażali się, iż w czasie egzaminów nie będą wydawać żadnych przepustek. Aby ją odebrać z Hazrat Nizamuddin St. pojechałem tym razem metrem. Po raz pierwszy wraz z tłumem przesiadających się opuściłem żółtą linię na stacji Central Secretariat. Tam wsiadłem w pociąg fioletowej linii, lśniące nowością, jadącej do północnej części Faridabadu. Okazało się, iż pomimo dramatycznych scen przy przesiadce, wagoniki tej linii są prawie puste i to w godzinach szczytu. Droga do pierwszej stacji, Khan Market, była bardzo ciekawa, gdyż metro, aby nie pokrywać się za bardzo z linią żółtą, jechało pod ziemią rekordowo długi czas bez żadnego przystanku. Khan Market to bardzo elegancki i drogi bazar, umieszczony w wielopiętrowych kamieniczkach, znajdujący się w pobliżu Lodi Gardens. Można tam kupić wyjątkowo udane wyroby rzemiosła, oraz wspaniałe albumy ze



sztuką Indii, lecz w iście zachodnich cenach. Są tam też eleganckie kawiarnie, takie jak Barrista, droższe niż w innych częściach miasta. Dla mnie niewątpliwą atrakcją Khan Market jest sklep z płytami, gdzie można nabyć niszowych wydawców wydających starannie bezcenne nagrania klasycznej muzyki indyjskiej. Wśród nich rzucają się szczególnie w oczy realizacje Underscore Records, firmy prowadzonej przez wielką śpiewaczkę Shubhę Mudgal i indyjskie stowarzyszenie miłośników dawnych nagrań. Khan Market zawiera też w sobie kilka cenionych przez indyjskich smakoszy restauracji, oczywiście drogich. Zewnętrzne fasady kamienic Khan Market są bardzo zadbane i sztywne, wewnętrzne uliczki dostawcze ogarnięte są typowym dla Indii chaosem i nieładem.

Tym razem wysiadłem na następnej stacji, Nehru Stadion. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, została ona ozdobiona licznymi symbolami sportów. Szczególnie elegancka, pełniła ważną funkcję podczas Commonwealth Games, na które spieszono się z ukończeniem metra. Wbrew znanym mi mapom, okazało się, iż wejście do stadionu Nehru dzieli od Lodi Road niewielki dystans, tak że wyjścia z metra bez trudu objęły obydwie te punkty docelowe. Tym razem miałem lepsze światło i oddałem się fotografowaniu pięknych zabytków występujących obficie na moim szlaku do dworca. Zdziwiłem się, iż jeden z wyjątkowo pięknych grobowców w pobliżu wylotu Lodi Road w dzień zamienia się w slums, gdzie biedne kobiety wieszają wypraną w zdobytej z trudem wodzie odzież, zaś ich nagie dzieci bawią się na marmurowych płytach zostawionych potomnym przez mogolskich i afgańskich władców.

Wieczorem mogliśmy podziwiać spektakl „Chaitanya” Santosha Naira. Była to absolutna rewelacja. Dynamika ruchu w tej współczesnej tanecznej choreografii była przemyślana co do najmniejszego drobiazgu. Tancerze wykonywali co rusz wyrafinowane i piękne jogicznie – sportowe ewolucje, w które nie uwierzyłbym, gdybym nie oglądał ich na własne oczy. Chaitanya był bengalskim mistykiem, bardzo ważnym dla

współczesnego kultu Kriszny. Spektakl odnosił się do jego historii w sposób abstrakcyjny. Moim zdaniem po prostu pokazywał człowieka, który mocą swojej woli pragnie przełamać istniejące społeczne granice. Jakkolwiek by nie było, spektakl stanowił jedno z moich najmocniejszych, choreograficznych doznań w życiu. Kai też się podobał, jednak z uporem twierdziła, iż nie mieliśmy do czynienia z tańcem, lecz z gimnastyką artystyczną. Następny punkt programu przygotowała Pratibha Prahlad. Wstęp do jej choreografii w pełni opartej na bharatanatyam był taki sam, jak w SNA. Później było już inaczej. Tancerze tym razem byli lepiej przygotowani i pomimo tego, iż scena nie była tak dobra, jak w SNA, całość wyglądała znacznie lepiej, niż za pierwszym razem.

Po spektaklu zostaliśmy zaproszeni na ślub brata żony Nishanta. Miał on się odbyć na Darya Ganj, czyli w najbardziej żywej i zatłoczonej delhijskiej starówce, zwanej Starym Delhi i zaprojektowanej przez jedną z córek cesarza Shahjahana. To właśnie tam znajduje się Czerwony Fort i wspaniały Jama Masjit, oraz najbardziej tłoczna ulica świata – Chadni Chowk, czyli Księżycowy Zaułek. Za British Raj biedni delhijczycy musieli ścieśnić się w tym obszarze, choć ich populacja sięgała już dwóch milionów. Pozostał po nich nadal obficie zaludniony labirynt. Darya Ganj jest równo oddalony od wszystkich przebiegających przez starówkę stacji metra. Wpierw oddaliśmy się przyjemności spaceru po bezsennym i zawsze gwarnym Chadni Chowk, pełnym wielopiętrowych sklepów, surrealistycznych kamienic i pięknych świątyń i meczetów. Było już ciemno, co dodatkowo wzmacniało romantyczny nastrój tego zatłoczonego miejsca. Gdy dotarliśmy do tonących w mroku, pięknych i monumentalnych murów Lal Qila, postanowiliśmy mimo wszystko wziąć rykszę. Na próżno. U progu Darya Ganju trafiliśmy w gigantyczną strefę wesel. Barwne korowody i korki spowodowane przez krewnych w okazałych autach uniemożliwiły jakikolwiek przejazd. Postanowiliśmy wysiąść i pójść na piechotę. Podobnie jak rykszarz nie mieliśmy jednakże bladego pojęcia o topografii Darya Ganj. Szybko trafiliśmy na „naszą

ulicę”, która jednakże wiła się jak wąż w nieskończoność. Dotarliśmy w końcu do dobrze zachowanych murów miasta Shahjahana, wzdłuż których szliśmy nie znajdując w tym większego sensu. Oczywiście wiele tu było pięknych domów, w których mieściły się wielkie księgarnie wszelkich możliwych wydawnictw. Niestety, w nocy wszystkie były zamknięte. Nishant dzwonił do nas, lecz i on nie mógł dać nam żadnej wskazówki dotyczącej wyjścia z tego wielkiego labiryntu. Co ciekawe, całe Darya Ganj było jakby wymarłe, rzadko się tu spotykało jakichkolwiek przechodniów, co w tak ludnej części Delhi należało do zjawisk trudnych do wyjaśnienia.

Wreszcie, zupełnie przypadkiem, trafiliśmy na miejsce ślubu. W środku mieliśmy wrażenie, że wszystkim przeszkadzamy, zaś Nishant należał do tych nielicznych Hindusów, którzy nie lubią ślubnego zgiełku. Głośniki były oczywiście nastawione trochę powyżej ryku odrzutowca, ale chyba leciała z nich bhanga. Same wnętrze ślubnej sali było takie sobie. Rodzina Nishanta zachęciła nas do skosztowania ślubnych dań, które przygotowała legendarna staromiejska restauracja. Stare Delhi słynie jako jeden z najważniejszych w Indiach punktów kulinarnych. Jedzenie było rzeczywiście znakomite. Jednakże rodzina panny młodej, zgodnie z tradycją fundująca całą imprezę i nie mająca z nami wiele wspólnego, wyglądała na grupę osób skrajnie nieszczęśliwych. Najgorzej prezentowali się państwo młodzi, ledwo trzymający się na nogach, ze łzami w oczach i opadłymi ustami. Dopiero później dowiedzieliśmy się, iż wszyscy byli zachwyceni mogąc podejmować gości z tak daleka. To był dla nich dobry znak. Tego wieczoru dokonaliśmy szybkiego odwrotu wraz z Nishantem, jego uroczą małżonką i córką.

Następnego dnia rano Nishant zaprosił nas na sesję fotograficzną w kompleksie Hauz Khas, dawnych sułtańskich zbiorników wodnych, które z czasem stały się mieszczącą również wielką madrassę nekropolią. Ze wstydem muszę wyznać, iż choć poprzednio byłem w Delhi pół roku, nigdy nie odwiedziłem

tego miejsca. Myślałem bowiem, iż Hauz Khas są ledwo wystającą z zieleni ruiną, taką jak pobliski Siri Fort z XIII wieku. Nic bardziej mylnego! O stulecie późniejsze od Siri Fortu Hauz Khas to jeden z najbardziej rozległych zabytkowych kompleksów Delhi. Oczywiście wcześniej zobaczyliśmy z Nishantem inne grobowce, porzucane pośród dzielnicy mieszkalnej z zadziwiającą intensywnością. Wśród nich wyróżniał się na poły zrujnowana, masywna wieża, przy której karano zbrodniarzy w czasach delhijskiego średniowiecza. Nie mogłem wręcz uwierzyć w ilość zabytków, jakie mieści indyjska stolica. Fragmenty historii są tutaj obecne wszędzie. Całkiem możliwe, że nawet na lotnisku któregoś dnia odkryję jakiś potężny, osadzony na skałach zamek, etc.

Hauz Khas poprzedzał elegancki obszar usługowo – handlowy, pełen galerii sztuki, antykwariatów etc. Został on utworzony w zabudowaniach dawnej wioski. Wszystkie jej domy, łącznie ze szkołą podstawową, zostały zamienione w luksusowe sale wystawiennicze i urocze kawiarnie. W granicach obecnego Delhi znajdowało się oczywiście wiele małych osad. Pod koniec panowania brytyjskiego, jak napisałem już wcześniej, cała populacja miasta stłoczona była w tzw. Starym Delhi, obejmującym najnowszą starówkę z XVII wieku, tę z Czerwonym Fortem. Nie można jednak powiedzieć, iż Delhi w innych miejscach nie było. Istniało ono tam jak najbardziej, w postaci na wpół opuszczonych miast, lub zarastających dżunglą nekropolii, karawanserajów i madras. Historia tych wszystkich kompleksów jest nader skomplikowana. Wielu muzułmańskich władców tej części Indii należało do wytrawnych smakoszy sztuki. Lubili oni zatem przywracać do życia nekropolie i inne fundacje swoich poprzedników, nawet, jeśli to oni sami ich obalili. Ich spojrzenie na przeszłość Delhi cechowało zamiłowanie do ogrodów. Mogołowie należeli do najbardziej śmiałych animatorów historii Delhi, lecz mieli wspaniałych poprzedników, wśród których przodował Firoz Shah (on również zostawił w Delhi swoją metropolię).

Oniemieliśmy zatem wchodząc wprost z artystycznej dzielnicy do gigantycznej, na wpół zrujnowanej madrasy, wokół której rozbiegały się grobowce łączące estetykę hinduizmu z tą przybyłą z Iranu i od ludów tureckich. Masywne, świątynne kolumny wspierały wysławiające Allacha kopuły, a za nimi, nad wysokim urwiskiem, mieniły się wielokondygnacyjne i rozległe na setki metrów ruiny madrasy. Przez wiele godzin chodziliśmy po opuszczonych korytarzach, salach, komnatach. Co jakiś czas otwierała się przed nami panorama wielkich zbiorników wodnych, umieszczonych w rozległym parku. Przy madrasie pracowali indyjscy konserwatorzy zabytków, wyglądający jak średniowieczni chłopci i mieszkający w tych ruinach. W ustalonych przez nich miejscach można było poczuć zapach moczu, albo też natknąć się na towarzyszące codziennemu życiu śmieci, rozwieszoną bieliznę etc. Jednakże efekty ich pracy robiły ogromne wrażenie. Jak mało kto w dzisiejszych czasach, potrafili oni znakomicie naśladować nadkruszoną średniowieczną kamieniarkę. Niekiedy oczywiście przesadzali i wtedy cały zabytek zyskiwał zupełnie współczesną elewację w dawnym stylu. Gdy pracy było wiele, znikała dbałość o szczegóły. W ten sposób po części zniszczono wielkie opuszczone miasto cesarza Akbara, Fatehpur Sikri, którego wielkie połączenie wyglądają teraz jak pospiesznie wykonane z kamienia dekoracje filmowe, którym nie należy przyglądać się z bliska. Mieliśmy nadzieję, iż podobny los nie spotka ostatecznie rozległego Hauz Khas.

Madrasa była ledwie początkiem naszej wycieczki. Po kilku godzinach zeszliśmy do oplatającego zbiorniki wodne wielkiego parku. Na środku sztucznego jeziora odkryliśmy wyspę z najstarszym grobowcem, w formie staroegipskiej mastaby. Wiązał się on z jakąś niezbyt już dziś czytelną legendą, dzięki czemu, mimo swoich skromnych rozmiarów, stał się centrum całego kompleksu. Moje zdumienie jednakże nie miało granic, gdy odeszliśmy od wielkiej, wodnej tafli i zagłębiliśmy się wśród drzew. Tutaj park przypominał naturalną dżunglę, zaś ilość wielkich grobowców rozrzuconych romantycznie wśród lian była wprost oszałamiająca. Nie brakowało tu też meczetów. W

pewnym momencie natknęliśmy się na przebywające w ogrodzonej partii kompleksu sarny. Okazało się, iż ich populacja wrosła za bardzo i miejscy ogrodnicy póki co odseparowali żarłoczne łanie od najcenniejszych, starych jak samo Delhi (ale już nie Indraprastha!) drzew.

Byłem zupełnie oszołomiony tym nieznanym, gigantycznym obszarem Delhi. A zaczęło się tak niepozornie! Skryta pod ziemią stacja metra wyprowadziła nas na spokojną, zupełnie kameralną śródmiejską uliczkę. Zabytkowa puszcza pojawiła się dopiero wtedy, gdy przemierzyliśmy labirynty uliczek tej urokliwej i lubianej przez delhijczyków dzielnicy. Obecnie, jeszcze mniej niż miesiąc temu, jestem w stanie zrozumieć osoby, które zwiedzając Indie omijają Delhi szerokim łukiem. Być może chodzi o muzułmański przeważnie charakter oceanu delhijskich zabytków? Ale nie jest to przecież w większości wypadków czysty „architektoniczny islam”. To raczej spotkanie bramińskich Indii z dziedzictwem Muhammada. Czasem przyjazne, czasem pełne walki, lecz jednak spotkanie... A warto przecież pamiętać, że najprawdopodobniej wszystkie purany, stanowiące odniesienie do popularnych na Zachodzie, monoteizujących nurtów hinduizmu, powstały po XI wieku. Czyli w czasach pierwszej świetności Sułtanatu Delhijskiego. W czasach Qutub Minar, Siri Fortu i Tuqlakabadu. Być może nie jest zupełnie szalone przypuszczenie niektórych religioznawców mówiące o monoteizującej odpowiedzi hinduizmu na przyciągający wielu ludzi Islam? Więc może to Qutub Minar, a nie malowidła z Adżanty powinny być bliższe wielu europejskim i amerykańskim hinduistom?

(ciąg dalszy nastąpi)

